Lwów 2. Sierpnia. №91. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. 3 Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie **8** Złr.—półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Zł. **20** kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziale za jednorazowe umieszczenie po **3** kr.. za na stęp- po **1** ½ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

XIII.

POJEDYNEK.

(Ciąg dalszy.)

Ciemno i straszno było na dworze. Rozhukane fale strumienia biły o skały brzegów, a łomot gałęzi i szum wichru rozlegał się przeraźliwie po lesie. Zdawało się poecie, że słyszy śmiech piekła, że śród gromów i wichrów słyszy glosy wołające: Cieszmy się, cieszmy, będzie nam jeden bluźnierca więcej, który oplwa świat, co go Bóg stworzył!...

Robert stanął nad brzegiem strumienia.

Z każdą chwilą rosły jego fale, a spadające z gór bałwany rozlewały się coraz szerzej poza brzegi skaliste.

Na drugim brzegu strumienia stał budynek piątrowy. Okna jego były jasno oświecone.

Robert spojrzał na duże, szklanne drzwi od balkonu i widział jak po jego szybach migały się cienie par tańczących, rysowały się grupy tu i owdzie rozrzuconych gości. Pojedyńcze tony muzyki dolatywały do jego ucha jak owe okruchy i kości, które leżącemu przed bramą bogacza Łazarzowi przynosiły psy i u nóg mu składały. Spojrzał w okno jej budoaru, i zdawało mu się, że widzi dwie twarze poufnie do siebie zbliżone, czarne i złowieszcze, przyklejone na powierzchni jedwabnej zasłony jak sylwetki z czarnego papieru... i widział jak te twarze zbliżają się coraz poufniej, aż w końcu zlały się w jedną bryłę bezkształtną, jak się zlewają dwie plamy atramentu... Pociemniało mu przed oczami, a z pod stóp jego oderwał się kawał brzegu i z szumem na dno strumienia się stoczył.

Stojącemu przed oknem brzmiącego weselem salonu, zdawało się w jego odosobnieniu, że jest wyrzutkiem społeczeństwa, że jest niegodnym ukazania się pośród tych, którzy się tam zgromadzili, aby wesoło czas przepędzić, podczas gdy on na wietrze i słocie stoi, by tylko ujrzeć po szybach okien przemykający cień! A w czyim ręku przemyka ona w szalonym pędzie tę samą przestrzeń salonu, którą on widział próżną i posępną, bo świąteczne jej lica to nie dla niego!... O jakżeby życzył sobie ujrzeć ją w całym blasku świetnego jej ubioru, te lica ożywione szkarłatem, oko tryskające promieniem szczęścia, tę postać udatną, łamiącą się z wdziękiem jak białolistna thea przy zwijaniu ją w bukiet kwiatów rozkosznych... O jakżeby chciał słyszeć ten głos, któremu nic niebyło podobnego na świecie, zachwycić choć kilka odcieni tego dźwięku, który najmilszą dla jego serca był harmonią... O nie, tego dźwięku niepragnął on dzisiaj szczerze zasłyszeć, a jeżli miał podobną żądzę, to wynikała ona z duszy chorej i rozdrażnionej, jak z popsutej krwi wynikają zachcenia, skutkiem swoim choremu szkodliwe.

Dopiero teraz poczęło mu się wyjaśniać, w jakim stosunku stała cała jego osoba do zamożnej rodziny. Miał on wprawdzie jej życzliwość, przychylność a nawet i szacunek, ale przy słabym blasku bijącego z okien światła rozeznał, że to była moneta papierowa. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że Julia tylko godzinę dziennie z nim przepędzała, a resztę czasu mogła poświęcić rozrywkom, zabawom, wizytom... i że przy każdej z tych okoliczności mogła kogoś widzieć i poznać, być widzianą i poznaną!

Stojąc w błocie i w deszczu, a patrząc na błyszczące światłem okna i słysząc wymykające się ztamtąd głosy wesołej drużyny, przyszło mu poraz pierwszy na myśl, że jakkolwiek przyjmowano go w tym domu z wielką uprzejmością, zapraszano go często na wieczór w koło familijne, jednak w tem kole familijnem był on jedynym gościem, a chociaż w takim razie czuł się więcej niżeli kiedykolwiek szczęśliwym i zadowolonym, krytykujący jednak dzisiaj jego rozum zdarł z wszystkiego pozorną ułudę, a w objęcie jego duszy rzucił szkielet zimny i nagi. Poznał że względy tego domu odnosiły się tylko do skarbów jego wiedzy i nauki, zdobytej ofiarą całego życia, a osoba jego była tylko ową formą pośredniczą, za pomocą której dobierano się do jego bogactw wewnętrznych. Widział się podobnym do owego kwiatka, z którym pieściła się pszczółka, pokąd z łona jego niewyssała ostatniej kropli słodyczy, a potem pożegnala go wzrokiem pogardy i szyderstwa...

Julia otoczona blaskiem bogactwa i rodu, wydała mu się dumną panią, o której względy stara się młodzież pierwszych kraju rodzin. Dumna ta pani mogła mu z wysokości swojej zrzucić wejrzenie przyjaźni, wdzięczności, lecz samo to wejrzenie, było już całą jego trudów zapłatą. A on chciał w tem wejrzeniu widzieć poczynający się świat

uczuć nowych, jutrzenkę szczęścia swego, które niegdyś miało w całym majestacie na błękit wypłynąć!... Dzisiaj jakoś trzeźwiej patrzał się na to. Uznał że marzenia jego były chore, że je wymarzył z odwróconą twarzą od świata, którego warunków nie znał i nieuwzględnił. Długi epizod życia jego wydał mu się dzisiaj długą chorobą, która siły jego stargała, czyniąc go w społeczeństwie nieuleczonym kaleką. Dzisiaj niemógł pojąć jakim sposobem przez tak długi czas mogł żywić tak dziwaczne marzenia, które mu się dzisiaj wydały jak widma wyobraźni gorączkowej; dziwił się, jakim sposobem mógł w tej gorączce wytrwać tak długo bez pęknięcia i spopielenia tej skorupy wapiennej, która okrywała ognisko chorej jego duszy.

Znowu odleciał kawał brzegu z pod stóp jego, a fale strumienia podmywały mu nogi. Niecofnął się wcale, nie dlatego, aby szukał śmierci; on niewidział już między śmiercią a życiem żadnej granicy! W salonie rozpoczęto nowy taniec.

Huk fali, szum wichru, muzyka i śmiechy z salonu, wszystko to dolatywało do uszu poety i padało jak grad lodu w rozognioną duszę. Powoli przygasał płomień gorejący, marzenia poety zbladły i rozwiały się jak mgła jesienna, a co raz jaśniej, coraz zimniej występywał przed jego okiem świat rzeczywisty, starzec zgrzybiały, wystrojony w szmaty przesądu i tradycyi. Przed tym światem musiał on stanąć jak zrzucony z nieba anioł za grzech pychy, i z lodowatej jego dłoni przyjąć z pokorą wyrok nieodwołalny.

Co raz chłodniej było mu w sercu, co raz chłodniej rozpatrywał się po swojem życiu ubiegłem. W tem uczuł że jakieś straszne zimno wskróś go przeszło, uczuł gwałtowny ból w głowie, chwycił się za czoło, w oczach mu pociemniało. Melodja tańcu i głosy z salonu umilkły nagle, tem głośniej zahuczały wody, zaszumiał wicher..

Gdy Robert oczy otworzył, ujrzał się w chatce wieśniaka. Leżał na słomie, a odzież jego suszyła się przy roznieconem ognisku. W chatce siedziała stara niewiasta i odmawiała pacierze.

Robert zażądał wody. Niewiasta wzięła dzbanek, przeżegnała go i podała Robertowi.

— Dla czego żegnasz kobieto? zapytał się.

— O bo na złego ducha trzeba krzyża pańskiego, odpowiedziała staruszka.

— A gdzież to jest ten zły duch?

— O panie, zły duch w ludziach mieszka, i prowadzi do grzechu!.

Skrzywił się Robert na te słowa prostoty.

— O panowie krzywią się dzisiaj na wszystko, przemówiła z gniewem staruszka, i w nic nie ufają, to też często karze ich Bóg za grzech pychy i niewiary, a zamiast anioła stróża wodzi ich zły duch po bagnach i przepaściach.

Robert umilkł, bo zdawało mu się, że i jego wiódł zły duch po bezdrożach życia i karmił ducha mrzonką i ułudą, aby go tem łatwiej rzucić w przepaść śmierci wiekuistej!.

Odwrócił od ogniska twarz, po której kilka łez spłynęło. Jakaś ciężka zmora przygniotła mu piersi, i niedozwoliła zaczerpnąć powietrza. Ciało jego zziębło, serce bić ustało. Przed źrenicą ducha roztoczył się cały obraz jego życia.

Wszystkie myśli i uczucia, które miał przed chwilą stanęły przed nim w nowej sile i zdawało mu się zbyt jasno, że całe jego życie poszło krzywo, chociaż on go sam nie skrzywił. Że nie znał świata i jego warunków koniecznych, nie było to jego winą, ale winą tego świata, który go nie przyjął, tylko zostawił na ustroniu, w bezludnej ostoi, gdzie karmiąc ducha czystą teorją nie przyswoił sobie rzeczywistego na rzeczy poglądu.

Jakaś nowa chłodna atmosfera otoczyła go, a błędy jego życia i zboczenia wyobraźni wystąpiły tem jaśniej i tem wyraźniej. Zdawało mu się, że płakał jak grzesznik za grzechy popełnione, ale czuł oraz że niema czasu do poprawy, ani do zadosyćuczynienia. Płakał jak zbrodniarz którego w zbrodni zaskoczył sąd boski i nie dał mu czasu do poprawy!... A Julia uśmiechała się wesoło jak zawsze, i bawiła się jak zawsze, a gdy do niego z uśmiechem się zwróciła, był to uśmiech ironii i szyderstwa.

Było już dobrze z rana, gdy się Robert przebudził. W chacie wieśniaka było gwarno i ludno, jakaś młoda niewiasta warzyła jeść, trzech wieśniaków suszyło przy ogniu odzież przemokłą, a staruszka szeptała w kącie pacierze. Rozmawiano o nocy burzliwej, o spustoszeniu wód, o nieszczęściu swojem i sąsiada, lecz rozmawiano z chrześciańskiem poddaniem się woli Boga, i dziękowano mu, że się na tem skończyło.

Gdy się Robert o wypadki nocy dzisiejszej zapytał, opowiedziano mu je krótko i zwięźle z tem zakończeniem, że wszystko to mogło się było stać inaczej, ale ręka miłosiernego Boga odwróciła groźne nieszczęście. Robert dziwił się nad potęgą tego błogiego uczucia religijnego, a gdy je z całą swoją nauką porównał, ujrzał ją drobną i nieznaczną, jak ziarnko maku, jak atom mgły jesiennej.

Później dowiedział się o własnej swojej przygodzie, a gdy wychodząc z chatki poczciwemu gospodarzowi coś do ręki wsuwał, zawołał tenże:

— Niechże mnie Bóg broni, abym za to brał pieniądze. Woda uszkodziła mnie tej nocy wiele pola, ale za to wyrzuciła na łąkę taką sosnę, jakiej jeszcze nigdy w lesie nie ścinałem! Pomyślałem sobie: to Bóg mi posłał za to, żem tego pana z wody wyciągnął.

Robert uznał za rzecz słuszną nie wynagradzać tam, gdzie sam Bóg wynagradza.

Uścisnąwszy rękę wieśniakowi, puścił się drogą do zakładu.

Dzień był pogodny, a na drodze widział mnóstwo idących do zakładu wieśniaków, z różnemi rzeczami do sprzedaży. Po wczorajszej słocie jaśniało niebo daleko milszym błękitem, niżeli w dnie zwyczajne. Ranne powietrze owiało jego twarz rozognioną i zdawało się tchnąć w jego serce jakieś zimno przyjemne i pożądane. Uczuł się zdrowszym na ciele i na duszy, a otaczające go przedmioty przybrały dzisiaj jakieś dziwne, niewidziane dotąd barwy, We wszystkiem co widział, była harmonia i spokój, wszystko odpowiadało swemu przeznaczeniu i było na swojem miejscu. Wesołe chłopaki od zakładowych rzemieślników, nucąc lub gwiżdżąc wesołą piosnkę, otwierali okna od warstatów, i szli z takiem zadowoleniem do całodziennej pracy, z jakiem ubiera się dama na bal wieczorny. W ich twarzach pełnych i czerstwych, widział zdrowie i siłę, w ich oku nie śkliło się żadne na pół złamane marzenie, jak świecąca skorupa stłuczonego, drogiego naczynia.

Kupcy otwierali sklepy, a w każdej twarzy był spokój i nadzieja zysku pewnego w dniu dzisiejszym; jutro było im obcem.

Dziwnie malowniczo grupowały się dzisiaj te ruchome postacie życia rzeczywistego, pełne swobodnego ruchu i zgodnej harmonii, a ujęte w ramy lasów zielonych i błękitnego nieba przedstawiały zachwycający obraz zewnętrznego świata. Nic tam nie było na daremnie, wszystko wypełniało swoje miejsce a zadowolone swem stanowiskiem, lub w pokorze wyższym posłuszne wyrokom, nie pytało się bynajmniej: dla czego?.

On sam jeden, z twarzą wybladłą, z sercem schorzałem, z głową opchaną suchemi teorjami, wyglądał na tym przecudnym obrazie, jak duża, szkaradna plama, która wpiła się jak jad gryzący w piękny jego koloryt.... Zdawało mu się, że na tym pięknym, bożym świecie chodzi jak upior nocny i trwoży swoją postacią niezwykłą!.

Niegdyś pogardził on tym światem rzeczywistym, uderzył nogą jak bryłę zawadzającej mu ziemi, a dzisiaj zemścił się nad nim ten świat wzgardzony, i spokojnie pastwił się nad nim w jego mękach śmiertelnych. Oddaliwszy się od społeczeństwa i rzeczywistości, musiał on napowrót do nich powrócić, ale z skrzydłami opalonemi w ogniu słońca, spadł z krainy mrzonki i teorji na ziemię, nie znając jej mowy.

Przy takich wrażeniach chwiejącym krokiem zdążył do wchodu na poddasze. Żadnej nowej myśli nie powziął, bo zdawało mu się, że dziwaczny jego dramat nie ma jeszcze końca!

Otworzywszy drzwi izdebki ujrzał nieznajomego, który siedział na krześle i dla przepędzenia czasu coś czytał! Na łóżku leżał Kazimierz śmiertelnie blady, i zdawał się zasypiać. Bielizna koło niego była krwią zbroczona.

— Właśnie czekam na pana, wstając z krzesła przemówił nieznajomy. Niechciej go tylko pan budzić, bo potrzebuje spoczynku. Jedno spojrzenie okazuje co zaszło; rana jednak nie jest zbyt niebezpieczną!.

— Więc to on!... wyjęknął Robert, a lica jega okryły się śmiertelną bladością, to on!.. on!..

— Spodziewam się, że pan jako człowiek honoru, podjął znowu nieznajomy, nie zechcesz mego stanowiska zapoznać. Jestem lekarzem. Cała rzecz wymaga tajemnicy!. Za chwilę przyjdę.

Skłonił się i odszedł.

Robert stanął jak posąg przed łóżkiem Kazimierza, załamał ręce, wszystko izdebki powietrze wciągnął w pierś swoją, zacisnął zsiniałe usta i nabiegł krwią cały. Zdawało się, że nawał cierpień i wrażeń rozdął pierś, nacisnął serce i je wyprężył do pęknięcia. Ale przecież nie pękło. Obfity zdrój łez wytrysnął mu z oczu, a jakiś dziki, przerażający głos wyleciał z piersi, która nagle zapadła się jak wzdęty bałwan wodny.

Kazimierz otworzył oczy i wzrokiem przygasłym spojrzał na płaczącego.

— I tyś mnie zawiódł?.. wyjęknął poeta z łkaniem a zakrywszy sobie oczy, padł w stojące koło łóżka krzesło.

— Czekałem na ciebie, przemówił słabym głosem Kazimierz, aby umierając mieć twoje przebaczenie!..

Chory wyciągnął bladą i obnażoną rękę, lecz Robert jej nie przyjął. Upadła jak martwa na łóżko.

— Mam więc za grób nieść gniew mego przyjaciela, którego zdradziłem nie wiedząc, któremu zamiast wdzięczności, wydarłem serce żywe!.. Jam jest twój Brutus, którego pieściłeś.

— Kazimierzu zawołał tkliwszym głosem Robert, dla czego zabiłeś mię podstępem?..

— Bóg świadkiem, że nie, a jeźli się tak stało, temu przyczyną jest twoja tajemniczość.

— Toś nie wiedział, że Julią kochałem?.

— Dopiero dzisiaj, przyszedłszy w nocy do domu po wyzwaniu mnie przez jakiegoś nieznajomego na pojedynek, obaczyłem na mojem stole papiery, a wziąwszy je do ręki poznałem twoje pismo. Począłem czytać i poznałem, niestety, po niewczasie, że pokochałem tę, którą i ty kochasz... Pożądanym był dla mnie wtedy pojedynek, bo chciałem umierać. Nieszczęście moje dopełniło się, szukałem cię przez dzień i noc, ale na próżno. Dziś rano dotrzymałem słowa, i odniosłszy ranę, dzięki Bogu śmiertelną, Bóg pozwolił, że cię widzę i nie daje mnie umierać bez twego przebaczenia. Jestem niewinny, a jeżeli zbłądziłem to za to umieram!..

Robert podniósł się z krzesła, a łamiąc ręce jakby w konwulsjach począł się po pokoju przechadzać.

Kurcz bolu ściągał i wykrzywiał mu lice, oko gorza-

ło płomieniem piekła. Muszkuły rąk i twarzy wyprężyły się jak struny i zdawało się, że popękają lada chwila.

Tymczasem przyćmionym wzrokiem badał chory każdy ruch swego towarzysza, a na wybladlej twarzy wyrażała się widoczna ciekawość, w jaki sposób odezwie się rozpaczający.

— Więc kochasz Julią prawdziwie? zapytał się tenże po chwili stając przed łóżkiem.

— Kochałem ją całą duszą! odparł chory i położył rękę na ranie.

— Dla czego mówisz — kochałem?

— Życie moje jest dla mnie przeszłością!.

— A Julia była ci wzajemną?.

— Od pierwszego wejrzenia, zrobiła na mnie wrażenie niezatarte, bo to wrażenie odniosłem w chwili najwyższej mojej boleści. Szukałem ją i znalazłem, a odtąd chętnie rozmawiała ze mną.

— Powiedziałżeś jej, że ją kochasz?

— Nie, nigdy, nie miałem na to odwagi.

Poeta począł znowu chodzić po pokoju, i zdawało się, że gotuje wyrok dla chorego. Stanął przed oknem, i spojrzał na świat, gdzieś daleko — aż nad brzegi Pełtwi. Tam w dworku, na oknie widział stosy manuskryptów swoich, gnijących w wilgoci i pyle. Roześmiał się dziko i zawołał: On nie miał odwagi... a ja! szalony!... gdzież moje skarby, tytuły, gdzież imię głośne... marzenia moje, moja uczoność, moja sława, wszystko to butwieje tam w tych poszytach, a spoleczność, a świat mnie nie zna... Nie, nie to szaleństwo.

Znowu przeszedł się kilka razy, zagryzł z bolu usta, jakby go wewnątrz palił ogień piekielny, i w słup postawionem okiem bez łzy i bez blasku, z okiem lunatyka, przystąpił do łóżka. Wyciągnął ku choremu rękę.

— Przebaczam ci Kazimierzu!

— Więc umieram w spokoju!... zawołał chory, uścisnął rękę przyjaciela, a drugą ręką szarpnął za ranę i rozdarł zazwiązkę, aż krew stumieniem wytrysla. A w piersi była rana. —

Z roskoszą złego demona wpatrzył się Robert w czerwony zdrój krwi, który hojnie wybuchał z rany, z niepojętą jakąś przyjemnością śledził obumarłem okiem niknące w twarzy życie — aż nagle wzdrygnął się, wstrząsł, jakoby ze snu obudzony i z przeraźliwym krzykiem rzucił się na chorego. Obsypując go pieszczotami, tamował dłonią krew, która się gwałtem na wierzch wydobyła, i wołał słabego do życia, obiecując mu szczęście i rozkosz.

W tej chwili nadszedł lekarz, a widząc co się stało, pospieszył na ratunek. Podczas zatrudnienia lekarza stał Robert koło łóżka, a w oczach błyszczał mu jakiś dziwny, niewidziany dotąd ogień. Z twarzy jego odleciał nagle smutek, a w koło ust jeszcze zaciśnionych, począł igrać uśmiech wewnętrznego zadowolenia. Z czoła zniknęły zmarszczki, a w pozostałym jednym zakroju osiadła jakaś myśl tajemnicza.

Powoli nabierała cała jego postać jakiegoś nieziemskiego światła, a każda fibra nabrzmiała gorącem natchnienia. Na licach jego migło czasem jakieś światło eteryczne, ciche i spokojne, jak błysk bez grzmotu, który zapowiada koniec burzy, a początek wychylającej się pogody. —

Gdy chory staraniem lekarza przytomność odzyskał, pochwycił go Robert za rękę i serdecznie uścisnął. — Wziął kapelusz i wyszedł. — (C. d. n.)

CÓRA PIASTÓW.

(Ciąg dalszy.)

Dowódzca zamku, Pełko siwobrody,
Z młodym Trojdenem puszcza się w zawody.
Wiek ich nie równa, ale dzielność równa;
Spotkać się z sobą pragną najgoręcej;
Dusza Trojdena ognistsza, gwałtowna,
Lecz Pełko w boju doświadczony więcej.
Zwarli się na pół żelaznemi ciały —
Jeden drugiego nie zachwiał, nie zdążył.
Grzmotnęli w miecze, aż skry posypały —
Lecz żaden miecza w piersiach nie pogrążył.
Ciosy Trojdena piorunem ognistym
Z góry gwałtownym uderzają świstem;
Pełko jak granit, mchem siwym porosły,
Tępi pioruny na swem twardem łonie.
W oczach Trojdena całe piekło płonie;
U Pełki uśmiech bohaterski, wzniosły. —
Miecz, zda się, przyrósł do prawicy dziada,
Na każde cięcie cięciem odpowiada,
Po każdym ciosie znać że wprawna ręka,
Gniewem nie płonie, śmierci się nie lęka,
Życia niebacznie na sztych nie naraża.
Był to bój piękny — i Litwa i Lachy
Stanęli patrzeć co się zeń wywiąże.
Lach miał kolczugę, a Litewskie książę
Pancerz ze Szwedzkiej wyszywany blachy.
Miecz u Litwina był gruby, miedziany,
Kuty po prostu w niemieckiem kowadle,
Zwijał się w rękach szybko i zajadle,
Rąbał kolczugę, lecz nie zadał rany.
A miecz u Pełki stalowy, Wenecki,
Dobrze hartowny i cienki jak wstęga,
Takt jego pewny, zamach nie zdradziecki,
Przekrawa pancerz, aż do ciała sięga,
A gdzie dosięże, to go ogniem pali,
Kraśny krwi sznurek wytryska z pod stali.

Lecz takie cięcia, to jak żądła pszczole,
Burzą do zemsty Litwina nad Lachem.
Trojden zakipiał i silnym zamachem
Strzaskał mu stalną przyłbicę na czole.
Pełko się zachwiał i na odlew płatnie,
Pancerz Trojdena ugiął się podatnie,
Aż prysnął rzemień, co mu pancerz spinał,
Ciężki napierśnik oderwał się z szyje.
Już w rękach Lacha Wenecki puginał
Miał się dopytać, kędy serce bije;
Gdy mężny Trojden swe miedziane ostrze
Wrąbał mu w czoło — padł Lacki wojwoda,
Jak dąb spróchniały, gdy się gromom poda,
Z trzaskiem po ziemi konary rozpostrze.
Pierś Lacha takty ostatnie dobija,
A usta szepczą: Jezus i Marja....
Skonał....
Litwini wszędy górę biorą;
Lach pod ich stopy rzuca miecz z pokorą.
Jeszcze krwią płynie podworzec zamkowy,
Jeszcze gdzieniegdzie walka kipi żwawo;
Leżą na ziemi okryte kurzawą
Szczątki zbroicy i ludzkie tułowy;
Dobija rannych Litewska siekiera,
Jęk konających aż duszę rozdziera.
Już Trojden z Lachów boleśnego jęku
Może odgadnąć zupełną wygranę;
Zamek bezbronny ujrzawszy w swem ręku,
Chce z niego zabrać łupy nie zabrane,
Więc broń obejrzał, porozstawiał czaty
I poszedł w dalsze zamkowe komnaty.

Po starych komnat kamiennej podłodze
Idzie, stukając miedzianym brzeszczotem,
Wiedzie za sobą swoje chrobre wodze,
A twarz zwycięzcy zlana krwią i potem.
Kibić ma smukłą — znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki roboty nie lada,
A kita strusia, wiatrami rozwiana,
W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
Twarz ogorzała, lecz kraśna a świeża,
Brew lekkim marsem pysznie się najeża;
A z pod brwi gęstej gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokoł zda się niedostoi;
Wzrokiem przeszywa pierś nieprzyjaciela,
I czułe serce niewinnej dziewoi.
Choć jest zwycięzcą wśród warowni Piasta,
Szałem wściekłości oko mu nie płonie;
Zdobi wąs czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu porasta.
Ręce nie zbrojne, krom lnianej odzieży,
By tem swobodniej wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Dwie mu popręgi idą przez ramiona:
Na jednej trąba, którą hasło dawa,
Na drugiej ostra, szeroka, jaskrawa
Zwisa siekiera już krwią napojona,
Krew na jej ostrzu jeszcze się rumieni,
Spada kroplami na tafle kamieni.

Z głuchym łoskotem przeszli dwie komnaty;
Tylko im echo na odpowiedź tętni.
Tu stare Piasty dawniejszemi laty,
Tu ucztowali wodzowie pamiętni,
Tu zwykł i Konrad, zmordowany łowy,
Ucztować z pany, ze swemi starosty;
Na grubych rogach wsparty stół dębowy,
Dalej ławice, gdzie siada lud prosty;
A dalej sfory przykute do ściany,
Gdzie śpią ogary i łowcze brytany;
A dalej komin, co w słotną pogodę
Sowitym ogniem wybuchał po sali,
Kędy siadają starcy siwobrode,
A u ich kolan pacholkowie mali,
Gdzie z piersi mężów wesołość wybucha,
Gdzie miód i wino leje się w puhary.
Dziś ta komnata i pusta i głucha,
Ledwie rozmierzyć okiem jej obszary,
Tylko tu goszczą od końca do końca
Echo rozwlekłe i pasemka słońca
U krat okiennych. Komin się nie węgli,
Gwar pogadanki nie kipi wesoło.
Litwini przeszli, spojrzeli wokoło,
Wreszcie do trzecich podwojów dosięgli.

(C. d. n.)

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

III.

WE LWOWIE.

(Ciąg dalszy.)

Tego samego jeszcze wieczora zdybał się ze Szpakowskim w kawiarni. Przywitali się oczywiście najserdeczniej, bo pan Felix potrzebował nóg i głowy Szpakowskiego, a Szpakowski miał potrzeby kieszeniowe, z któremi, jak wiemy, udawał się zwykle do przybywającej ze wsi znajomej sobie szlachty. Po przywitaniu zawiązała się między niemi ważna rozmowa:

— I cóż Feluniu! zagadł Szpakowski patrząc przyja-

cielowi w oczy, by z nich i z twarzy odgadnąć stan jego kieszeniowy. Przyjechałeś próbować szczęścia dalej.

— Cóż robić? odrzekł Felix z gestem wymownie bohaterskim. Śmierć lub zwycięstwo! niema wyboru mój drogi. Albo posag, lub golizna!

— To prawdziwie szlacheckie przedsięwzięcie, godne ciebie; lecz jakże dalej zamyślasz kierować łódką swoją, i w którą uderzysz stronę?

— W stronę najpieniężniejszą oczywiście. Jak wiesz, posiadam prawdziwy klejnot w siostrze, która ma dwie wsie podolskie, niemając innego ciężaru, prócz najpokorniejszego w świecie starego męża, ktory szybkim do grobu postępuje krokiem, po drodze zasłanej kwiatami miłości małżeńskiej.

— A, mam zaszczyt znać panią Kopycińską.

— Owoż zacna ta niewiasta, mając dwie wsie, ma przez to samo mnóstwo znajomości, stosunków familijnych z wyższemi nawet domami szlacheckiemi, bo musisz wiedzieć że Kopycińscy, jakkolwiek Kopycińscy....

— Są skoligaceni polskim i szlacheckim zwyczajem z całą szlachtą w koronie i Litwie, z dodatkiem Ukrainy, Wołynia i Poznańskiego. Lecz cóż z tego?...

— Pojmiesz więc mój drogi, że byłaby to już rzecz ostatnia, gdyby w całej Polsce w *dawnych granicach* nie dał się wynaleść choć jeden dla mnie posag. Ty wiesz przecie że te baby, zwłaszcza na polu swatania, jak zaczną coś szeptać, a coś radzić, a jeszcze więcej kłamać, wykoncepują koniecznie jakieś stadło.

— Pozorne to wszystko rozumowania mój Felixie. Wedle mego zdania twój projekt jest bardzo piękny, ale nie praktyczny, podobny nieco do tych francuskich: *„palais d'Espagne"* wybudowanych zapewne za nasze summy neapolitańsko-hiszpańskie, które już od kilku wieków posiadamy de nomine. Pani Kopycińska nic ci nie pomoże, mimo dobrych zapewne chęci, mimo dwóch wiosek i swoich stosunków. Nasze bowiem szlachcianeczki mają daleko więcej niepraktycznych pstrokacizn w głowie, niżeli praktycznych pieniędzy w tabularnej rzeczywistości, i więcej daleko grymasami dźwięcznego głosu, niżeli dźwięcznych dukatów.

— Jest w tem prawda co mówisz, lecz cóż mam robić? Ja muszę mieć posag, więc muszę się ożenić.

— Syllogizm niezwalczony! Posłuchaj więc rady mojej. Szlacheckie stosunki siostry twojej, i pogoń za posagiem szlacheckim zostaw na koniec; to już: Ultimum remedium, to już będzie twoje ostatnie: va banque! ostatnia stawka na tej loteryi konkurowej. Bo jak raz wleziesz między te szlacheckie stosunki, i zaczniesz konkurować, a co broń Boże, pośliźnie ci się noga, przepadłeś już na zawsze, jak mysz w ukropie. Sława odebranego harbuza rozchodzi ci się prędzej od żydowskiej poczty, i przyczepia się do odpalonego konkurenta, jak ospa, jak garb, jak hańba! Harbuz dla mężczyzny jest stokroć gorszym, jak stare panieństwo dla kobiet.

— Ślicznie mówisz, lecz poradź co.

— Spróbuj więc z innej beczki zaczerpnąć nektaru małżeńskiego. Kopnij się pomiędzy mieszczanki. Do jakiej ślusarki, mydlarki, kotlarki albo kupcowej lub krawcównej. Zrzuć dewizę herbu twego, a przyjmij za godło: *„bürgerlich-romantisch!"*

— Ależ ja nie znam żadnej mieszczanki, i jeżeli harbuz szlachecki ma być hańbą, czemże dopiero będzie harbuz mieszczański?...

— Co do wartości tych dwóch harbuzów powiem ci szczerze, taka jest różnica, jaka zachodzi między złamaniem nogi z angielskiego folbluta, i złamaniem jej z najgorszej żydowskiej szkapy. I tu i tam wiecznie będziesz *kulał*. To masz odpowiedź na jeden z twoich zarzutów. Co zaś do znajomości mam ich dosyć w klassie mieszczańskiej. Wyliczę ci cały a spory katalog prawdziwie dźwięcznych mieszczanek lwowskich.

Jakoż zaczął mu Szpakowski, znający na palcach tabulę miejską, wyliczać wszystkie majętniejsze mieszczanki, i używając do tego pewnego porządku topograficznego, przechodził ulica po ulicy, kamienica po kamienicy, wszystkie zakłady, warsztaty i tak zwane: *„pracownie."* Wymienił nazwiska, stan majątkowy, ojców i matek pochodzenie, i narodowości, historyczność zarobionego majątku, córek wady i zalety, fizyczne ich wykształcenie z dodatkiem adnotacyi z kroniki skandalicznej wyczerpanych. Jednem słowem odbył najdoskonalszą rewją posagową.

— A teraz bądź zdrów, zakończył wreszcie swą przemowę. Pomyśl nad tem co mówiliśmy i zdecyduj się ostatecznie. Szlachcianki zostaw na ostatek, jeżeliby ci się nie udało po drodze przezemnie wskazanej zdobyć kamienicę i żonę kucharkę.

I rozeszli się.

Pan Felix nie w ciemię bity, zreasumowawszy wszystko, co mu Szpakowski nagadał, przyznał mu zupełną słuszność, i postanowił cały karnawał exploatować w szlachetnym celu dostania się za pomocą grubej mieszczańskiej ręki, do grubszego klucza jakowejś kamienicy.

Karnawał już się był rozpoczął w całej swej ułudnej a niebezpiecznej świetności. Bo czy też kto się z państwa zastanowił nad tem, co to jest karnawał?

Karnawał to jest okrutnie duża, szeroka, długa i głęboka, niczem i nigdy nienasycona paszcza smoka, który od wszystkich innych z historyi naturalnej znanych potworów tem się głównie różni, iż jedynym i wyłącznym jego pokarmem są *pieniądze*. Dawniej był on więcej wymyślnym i karmił się złotem lub srebrem, lecz za czasem o tyle się wycywilizował i do okoliczności bieżących zastosował, że pożera nawet i papier, byleby ten był choć jakim takim przedstawicielem monetowej wartości.

Karnawał, osobliwie dla mężów, na których ma chrap wielki, stokroć jest straszniejszy od onego ś. p. smoka na Wawelu mieszkającego. My nieodrodni synowie Adama, jak on naukochańszej Ewy, słuchajmy głosów naszych: Ewelinek, Henryjetek, Filomenek i t. d. i jak on za pomocą powabnego węża musiał w kwaśne i niezdrowe ukąsić jabłko, tak i my powabnym karnawałem i powabniejszym jeszcze głosikiem najdroższej połowicy do: *„nad życie ukochanego wteńczas męża“*, z głębi serca wydobytym znęceni, sięgamy do głębokiej, lecz pustej kieszeni, aby z niej wydobyć ostatni grosz na potrzeby karnawałowe. Jeżeli zaś w kieszeni zupełne są już pustki, udajemy się wedle przysłowia narodowego, w którym jak twierdzą chowa się mądrość narodowa: »kiedy bieda to do żyda«. Wówczas dopiero głaszcze się go *»połączonemi siłami«* z małżonką pod brodę a pochlebia się mu bez końca, aby tylko wytumanić od niego grosz jaki. (C. d. n.)

O widowiskach, dawanych przez krakowskich aktorów w Poznańskiem i Prusiech.

Nie mogąc mówić wam o widowiskach w Krakowie, powiem przynajmniej o widowiskach, dawanych przez krakowskich aktorów w Poznańskiem i Prusiech. Bawi w Poznańskim ciągle Pfeifer z swem towarzystwem, bo ciągle wiedzie mu się jak najlepiej. W Czerwcu zrobił wielki interes przez czas jarmarku w Gnieznie, a po powrocie z jarmarku do Poznania miał tak zapełnione widowiska, że publiczność zajmowała orkiestrę. W dniu 10 Czerwca wyjechał znowu do Gniezna, zkąd czynił wycieczki na trzy dni do *Wrześni* na jarmark, na cztery dni do *Trzemeszna* dla gymnazyum, i gimnazyum nie zawiodło kassy jego, bo nawet lepiej wyszedł, niż we *Wrześni*. Znów wrócił do *Gniezna*, tam publiczność pożegnała aktorów entuzyastycznie, przyjmując każdą sztukę wieńcami i kwiatami. Ztamtąd pojechali o pięć mil do *Środy* gdzie bawili, z powodzeniem cały tydzień, i znów koło 26 Czerwca przybyli do *Szremu* gdzie bawili dłużej, siedząc tu i w początkach lipca, a lubo szlachta wyjechała do Poznania na kontrakta, jednakże mała mieścina nie małe przyniosła dochody.

Repertoar teatralny zawsze ten sam: Okrężne, Szewc bankrut, Berek, Arystokraci, Ułan i Grenadyer i t. d. Z aktorów na placu ciągle panna *Radzyńska*, niezmordowana kandydatka do wszystkiego, mimo lat i pory jesiennej grywająca i młode i stare zarówno bohaterki, faktycznie zarządzające trupą przy pomocy reżyssera *Ładnowskiego*. Najlepszy aktor a jedyny artysta w całej tej trupie *Królikowski Karol* potrzebuje lepszych sztuk do okazania pełni swego talentu, szkoda go między takiemi miernościami. *Szturm* i *Janowski*, artyści stojący na równi obadwaj ze sobą i obadwaj bardzo nieudolni, grywają role kochanków. Brakuje *Olcuskiej*, która porzuciwszy zacisze wiejskie ujechała do Warszawy, *Szynglarska* zaś która podjęła jej role, nie podoba się publiczności, ani z zewnętrzności swej, ani z gry swej monotonnej.

Publiczność pruska i poznańska jestto prawdziwie złota, nieoceniona publiczność. Prawda że szlachta najwyższa rodowa S. D. lub R. i t. d. nie troszczą się bynajmniej o teatr polski i nieodwiedzają go, w czem zachodzi wprost odwrotny stosunek względem nas, bo u nas w Kongresowce, właśnie wyłącznie tak zwana magnaterja wspiera niemal wyłącznie teatr, i dla niego ofiar żadnych nie oszczędza. W Poznańskiem zaś teatr stoi ofiarami drobnej wyłącznie szlachty. Stan mieszczański ledwie kilką talarami kasę pomnoży i to tylko na sztuki takie jak *n. p.* Napoleon, a galerii nie znają tam wcale.

Przypatrzmy się bliżej temu prawdziwemu poświęceniu się drobnej szlachty dla utrzymania sceny narodowej. Uczyńmy obliczenie. Na każde widowisko zjeżdża szlachta z daleka z okolicy. Wydatki na bilety z familią kosztuje od 15 do 25 złr. Dzień w którym jadą, zostaje zmarnowany dla gospodarstwa, ośm lub dziewięcioro koni do dwóch lub trzech bryczek i czworo ludzi gnają trzy lub cztery mile na teatr. Po teatrze dla tych ludzi i dla familii potrzeba płacić izby, kolacją, dla koni stajnię i obrok. Wraca szlachta nazajutrz do domu i cały ten dzień ludzie i konie odpoczywają, a znów na trzeci dzień taż sama jazda do tegoż lub innego miasta na tejże sztuki przedstawienie. Co tu na jeden raz kosztów, a co niewygód i kłopotów!

Jestże w tem sama chęć zabawy i ciekawość? Sądzimy, że coś więcej spoczywa w głębi serc tylu; uczucie narodowości rwie ich ku narodowej scenie. Zabawa powtarzana ciągle, jednostajnie, znudziła by wszystkich, gdyby nie grało uczucie w piersiach. Bo i jakże się tu bawić? Sam teatr przestrasza, bo bywa urządzany albo w stajence roznoszące odor, parnej, duszącej i przez oszczędność najgorzej oświetlonej, albo też w izbie jakiej, dobrej tylko na szopkę, gdzie nie tylko z widzów i artystów, ale i ze ścian kroplisty pot się leje.

Na wstępie ponieważ światła bywają rzadko wcześnie zapalane, wita widzów ciemność lub pomroka księżycowa, poźniej rznie kapela wpół wsiowa, wpół niby kocia muzyka. — Za podniesieniem zasłony, widz musi wmawiać sobie, że widzi scenę a nie szopkę. — „Chłopi Arystokraci,“ muszą znać uszanowanie i zdejmować kapelusze, bo inaczej pozrzucaliby niemi paludamenta. Scena odbywa się we wszystkich sztukach przy jednym stole i przy jednej dekoracyi, — mniejsza o to, czy tam las, czy ogród, czy pałac, czy chałupa są potrzebne. — Szlachta widząc w każdem mieście jedne i te same sztuki, zjeżdża jednakże natłokiem, i przysłuchuje się z zajęciem krotofili, którą umie już na pamięć, bo ją wczoraj widziała w Trzemesznie a przedwczoraj w Gnieźnie i t. d. — i to z małemi tylko odmianami, bo aktorowie, grając machinalnie, bez prób

wypuszczają częstokroć tę, lub ową scenę, zaś sufler wypuszcza inną. — Sufler nadto, nie mając budy i tylko stojąc za kulisą, wie, że i tak aktor nie usłyszy go, dla tego nie robi sobie subjekcyi z poddawaniem wyrazów. — Oto macie najwierniejszy obraz wędrówek i stanu trupy krakowskiej, będącej zarazem obrazem każdej trupy prowincjonalnej.

Dla dania jeszcze wyobrażenia o zapale jaki obudza scena w tamtych stronach, podaje w zakończeniu jeszcze rys jeden. Dwaj młodzieńcy, nie mający osobliwego pojęcia o sztuce i o scenie, *Karliński* i *Trelewski*, pisali anonim z Gniezna do Poznania wspólnie artykuły teatral- w których wynioslszy pod niebiosa talent *Radzińskiej*, *Szynglarskiej* i *Ficzkowskiego* (*sic*) potępili stanowczo resztę aktorów. — Publiczność za odczytaniem bezimiennych artykułów, podniosła formalny bunt przeciw nieznanym autorom. Odgrażano się im, srożono się, zbierano się po ulicach i restauracjach krzycząc i złorzecząc, a za zbliżonem widowiskiem, cała publiczność przyjmowała potępionych niesłusznie aktorów, z takiemi uniesieniami entuzyazmu, o jakich ledwie można mieć wyobrażenie. Niewczesny Recenzent, broniąc się przeciw oburzonej opinii, napisał te słowa w następnej swej krytyce teatralnej: Gdyby mury naszej starej katedry runęły, gdyby pół miasta się zapadło, niebyłoby takiego oburzenia się i krzyku, jakie wywołała niewinna recenzja, za którą mnie osądzono zdrajcą, godnym szubienicy.

Rozmaitość.

* Cholera, która w ostatnich czasach coraz słabiej się objawiła, z niedzieli na poniedziałek silniejsza była, osobliwie w niektórych zabudowaniach, jak w gmachu teatralnym, w domu Kreppa, w jednej kamienicy koło Panny Maryi po kilka ofiar wzięła. Podług urzędowych wykazów 29. lipca zachorowało 146 osób, a umarło 31. Na dniu 30. b. m. wydarzyło się 199 nowych wypadków cholery, a 76 wypadków śmierci. Ogółem od powstania zarazy zachorowało 2926, a umarło 1370.

* Między wielu umarłymi padł ofiarą tej zarazy powszechnie poważany i żałowany Wojciech Żerdziński, Doktor Medycyny, Magister Chirurgii, były rektor, i emeryt. professor tutejszego uniwersytetu w 76 roku życia. Śmierć jego takie wrażenie uczyniła na synie Romanie Żerdzińskim, urzędniku przy Buchhalterii, iż w kilka godzin zakończył również życie. Pogrzeb ojca i syna odbywał się razem.

* Wczoraj pochowano proboszcza kościoła u Panny Maryi, księdza Janka. Tak był lubiony od parafian swych, iż ci z uczynionej na prędce składki wymurować mu kazali grób, i teraz zamówili pomnik. Ksiądz Waśniewski miał na grobie jego piękną przemowę.

* Śród nieszczęścia jakie dotknęło nasze miasto, w całej świetności okazuje się poświęcenie lekarzy. Na wspomnienie szczególne zasługuje, o ile do naszej wiadomości doszło, gorliwość Dra. Szretera, homeopaty, Webera, Skałkowskiego, Wereszczyńskiego, Rorera i Mileretа. Bez różnicy, czy wezwani są do ubogiego, lub zamożnego, o każdej porze natychmiast spieszą z pomocą. Lecz jest niestety i kilku którzy pod rozmaitemi pozorami usuwają się od niesienia pomocy. Istotnie zasługują aby przy podobnym wypadku wymieniono ich nazwiska. Szczególniejszą niedogodnością jest brak fiakrów. Rzadko kiedy można fiakra dostać.

Przyjechali od dnia 30. Lipca do 1. Sierpnia do Lwowa.

PP. Dobek Konstanty z Sarnik. Bobowski Konstanty z Tarnopola.

P. Mier Henryk hr. z Buska.

Wyjechali od dnia 30. Lipca do 1. Sierpnia ze Lwowa.

Jego Cesarz. Mość Karol Ludwik do Stryja. PP. Poniński Kalixt ks. do Gajów. Borkowski Alex. hr. do Manasterzysk. Pelichowicz Klemens do Manasterzysk. Weber Józef do Rzeszowa.

PP. Głogowski Artur do Bojanca. Golejewski Karol hr. do Stryja. Czacki Alex. hr. do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 1. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	$120\,^{7}/_{8}$	Pożyczka 5%	78 —
Hamburg za 100 tal. banco	$87\,^{7}/_{8}$	Akcye banku	969
Londyn za 1 funt szterl.,	11 40	Kolej północna	2030
Medyolan za 300 lirów	$118\,^{1}/_{4}$	Obl. ind.	$75\,^{1}/_{2}$
Paryż za 300 franków	$140\,^{1}/_{2}$	Nowa pożyczka z loterya	$98\,^{13}/_{16}$
Agio duk. ces.	25	Pożyczka narodowa	82

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 32	złr. 5	kr 35
Dukat cesarski	„ 5	„ 34	„ 5	„ 37
Półimperyał zł. rosyjski	„ 9	„ 34	„ 9	„ 38
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 51	„ 1	„ 52
Talar pruski	„ 1	„ 46	„ 1	„ 47
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„ 21	„ 1	„ 22
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„ 93	„ 10	93	„ 30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	69	„ 30	„ 70	„ —
5 proc. pożyczka narodowa	82	„ —	„ 82	„ 45

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: H. W. Kallenbach. Z drukarni E. Winiarza.

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 91 z roku 1855.

(141. 1 — 3)

Nowości literackie

W KSIĘGARNI KAROLA WILDA WE LWOWIE,

w rynku na rogu ulicy dominikańskiej.

☞ Dzieła oznaczone * można także *pożyczać do czytania* w wypożyczalni do tejże księgarni należącej. Abonament miesięczny kosztuje 1 złr. Na wieś po 10 tomów na raz 3 złr.

***Alzog Jan. Historya powszechna kościoła. Z piątego wydania** przetłomaczona przez X. J. W. Sch. Pijara. Tłumaczenie przejrzane, poprawione i uzupełnione przez X. St. Krasińskiego, kanonika Wileńskiego. Tom I. z przedpłatą na 4 tomy, w 8ce. Petersburg 1855. 9 Złr.

*** Dziejopisowie krajowi. 4 tomy w 8ce z przedpłatą na 6 tomów** 18 Złr. Tom I. i II. zawiera: W. J. Rudawskiego Historią Polski od śmierci Władysława IV. aż do pokoju Oliwskiego, czyli dzieje panowania Jana Kazimierza o 1648 do 1660 r. Tom III. zawiera: Jak. Sobieskiego Pamiętnik wojny Chocimskiej, i J. Dym. Sołikowskiego Pamiętniki rzeczy polskich. Tom IV. zawiera Jędrzeja Maks. Fredry. Dzieje narodu Polskiego. — Leon. Goreckiego Opisanie wojny Iwona. — Jana Łasickiego O wtargnieniu Polaków na Wołoszczyznę.

*** Kaczkowski Z. Wnuczęta. Powieść współczesna. 4 tomy** w 8ce. Petersburg 1855. 10 złr.

*** Kaczkowski Z. Gniazdo Nieczujów. Pierwsza wyprawa pana** Marcina. Kasztelanice Lubaczewscy. Powieści (Ostatniego z Nieczujów tom 6ty) w 8ce Petersburg 3 złr.

*** Korzeniowski J. Scena na balu. Pojedynek. (Powieści i opo-**wiadania. Serya II.) w 8ce Wilno 1855. 2 złr. 24 kr.

Pol Wincenty. Sejmik jenerał województwa ruskiego odpra-wiony 1766 r. w Sądowej Wiśni. Sejmikowa tradycya JMĆ. pana B. Winnickiego. w 8ce ozdobnie oprawna. Petersburg 1855 3 złr. 18 kr.

*** Skarbczyk poezyi polskiej. Zawierą: poezye Bielowskiego,** Brodzińskiego, Gaszyńskiego, Hołowińskiego, Lenartowicza, Magnuszewskiego, Morawskiego, Odyńca, Pola, Siemińskiego, Słowackiego, Ujejskiego, Wasilewskiego, Witwickiego, Zaleskiego i innych w wyborze. 6 tomów z przedpłatą na 4 tomy w 12ce 12 złr.

Syrokomla W. Margier. Poemat z dziejów Litwy w 8ce Wilno 1855, 4 złr. 30 kr.

*** Tripplin Dr. T. Pamiętniki lekarza Polaka, z wypadków za** granicą doznanych 6 tomów w 8ce Warszawa 1855 15 złr.

W księgarni *H. W. Kallenbacha we Lwowie* są do nabycia:

Baxtera obrazy angielskie drukiem olejnym.

Zdjęcie z krzyża Pana Jezusa podług Rubensa, oprawione w ramkach 2 złr. 24 kr.

Chrystus Pan błogosławiąc chleb i wino, oprawione w ramkach 3 złr. 40 kr.

Familia święta podług Rafaela, oprawiona w ramkach 2 złr. 20 kr.

Pan Jezus na krzyżu, oprawione w ramkach 4 złr. 20 kr.

Nouveautés en Musique

chez

H. W. KALLENBACH,

Libraire et Marchand de Musique à Leopol, Place du dicastère Nr. 41.

Adler A. La Capricieuse, Impromptu. op. 7. 1 fl.
„ „ Danse Hongroise 1 fl.
Album muzyczne, zawierające kompozycye: Dobrzyńskiego, Nowakowskiego, Meyerbeera, Belliniego, Masiniego, Münchheimera, Chojnackiego, Gungla i Reissigera 1 fl. 12 kr.
Ascher J. Mazurka de Traineaux. 1 fl.
„ „ Souvenir d' Enfance. op. 38. 54 kr.
„ „ Un mot du coeur. Idylle op. 39 54 kr.
„ „ Fanfare Militaire op. 40. 1 fl.
„ „ L' eclair, Mazurka originale op 42 54 kr,
„ „ Prière. op. 41. 45 kr.
„ „ Bolero sur le Muletier de Tolède. op. 44. 1 fl.
Bertini H. Méthode complète et progressive de Piano 13 fl. 30 kr.
Beyer F. Chants patriotiques Nr. 28. Partant pour la Syrie 18 kr.
„ „ Repertoire des jeunes pianistes op. 36 Nr. 44. Meyerbeer, L' etoile du Nord. 45 kr.
„ „ Bouquet de melodies op. 42. Nr. 37 Meyerbeer, L' etoile du Nord. 1 fl.
„ „ Roses des Alpes, op. 132. Nr. 1. Air Autrichien. Nr. 2. Air Styrien. Nr. 3. Air Tyrolien. chaque 45 kr.
Cramer H. Potpourri Nr. 117. Verdi, Il Trovatore. 54 kr.
„ „ Les larmes. Pensée caracteristique op. 115. 45 kr,
Godefroid F. Les masques. Fête italienne op. 52. 1 fl.
„ „ 2de Sonate. op. 53. 1 fl. 48 kr.
Goria A. Nocturne de Concert. op. 74. 54 kr.
„ „ Fête Moldave. Mazurka brillante p. Piano op. 75 45 kr.
Gutmann A. Au Bord du Ruisseau. Melodie op. 17. 50 kr.
Heller S. deux Tarantelles, op. 85 Nr. 1. 1 fl.
„ „ „ „ „ „ Nr. 2. 1 fl. 20 kr.
Herz H. Illustration de l' Etoile du Nord. op. 178 1 fl. 30 kr.
Herzberg A. Justine, Sophie. Deux Polka-Mazurkas. op. 39. 30 kr.
Hünten F. Méthode de Piano. 5 fl. 24 kr.
Kaplińska Z. Wiosna i jesień. Spiew 15 kr.
Kątski A. Souvenir de Cracovie. Improvisation, op. 150. 1 fl.
Kocipiński A. Spiewy Sławiańskie op. 9. Nr. 1. Spiewka 1 złr.
Nr. 2, Duma o Hetmanie Kosińskim 1 fl. 30 kr.
Nr. 3. Dumka 1 fl. 20 kr.
„ „ Weneckie i polskie zapusty op. 10. 2 fl. 40 kr.
Kuhlau F. 8 Rondeaux faciles. op. 41. Nr. 1. 2. chaque 1 fl.
Lefébure-Wély, Le nid de fauvettes. Caprice de genre. op. 83. 45 kr.
Listowski A. Hetman polny. Spiew staro-żołnierski. 40 kr.
Lubomirski K. Pierwiosnek. Spiew 1 fl.
„ „ La rosa e la croce. Romanza. op. 13. 40 kr.
„ „ Pieśń z Wieży. op. 15. 1 fl. 30 kr.
„ „ El sospeto. Poesia in dialetto Veneziano. op. 16. 1 fl. 10 kr.
„ „ Gwiazdka. Poezya. op. 22. 40 kr.
„ „ Seguidilla et Romance. op. 27. 1 fl. 10 kr.
„ „ La partenza. Poesia. op. 28. 1 fl.
„ „ 2gi Pochód kozacki. Spiew. op. 33. 1 fl.
Madejski M. Przy krosienkach. Pieśń 18 kr.
Meyer L. Souvenir de Florence. Fantaisie-Polka op. 101. 1 fl. 12 kr.
Niemcewicz J. U. Spiewy historyczne z muzyką. (Wydanie Adama Wojciecha Cybulskiego) in 4to. 5 fl.
Nowakowski J. Barcarola do spiewu 45 kr.
Ravina H. Dernier Souvenir. Pensée poetique op. 31. 45 kr.
Ruckgaber J. Pensée. Romance sans paroles. op. 53. 30 kr.
Schulhoff J. Souvenir de Kieff. Mazurka. op. 39. 1 fl.
Strauss J. Souvenir Polka op. 162. 20 kr.
„ „ Glossen. Walzer op. 163. 45 kr.
„ „ Sirenen Walzer op. 164 45 kr.
„ „ Aurora Polka op. 165. 20 kr.
„ „ Handels-Elite-Quadrille op. 166. 30 kr.
Talexy A. 3 Marches Turques op. 69. Nr. 1 Marche du Sultan. Nr. 2. Marche d' Omer Pascha. Nr. 3. Marche danubienne. chaque 36 kr.
Teichmann A. Barcarolini. Chant. 24 kr.
„ „ Do kochanki. Spiew. 15 kr.
„ „ Do obrazu Matki Boskiej. Spiew. 30 kr.
„ „ Kwietnia róża. Spiewka. 24 kr.
„ „ Pożegnanie. Spiew. 18 kr.
„ Zdrowaś Marya! Spiew nabożny 24 kr.
Voss Ch. Extase. Grande Etude de genre. op. 184 1 fl. 10 kr.
„ „ Souvenir de Florence op. 185. 1 fl.
„ „ Sur l'eau, Couplets. op. 187. 1 fl. 20 kr.
„ Lazarilla, Danse Andalouse op. 188. Nr. 1 1 fl. 20 kr.
Wolff E. 3me Scherzo, Allegro vivace op. 192. 1 fl. 12 kr.

APTECZKI

homeopatyczne

świeżo sprowadzone z Niemiec, zawierające 10 przeciwśrodków na cholerę, są do nabycia

w Aptece Mikolascha

przy ulicy szerokiej. Jedna apteczka wraz z książeczką: Wyjawienie sposobu leczenia cholery i uchronienia się przed nią, przez Marcelego Dłużniewskiego podług instrukcyi Dra. Lutze itd. kosztuje 3 złr. m. k.

(138) (2—3)

ZEGAR ŚCIENNY

idący za jednem nakręceniem **siedm miesięcy,** dzieło umyślnie przez bardzo zręcznego zegarmistrza jako

wzór mistrzowstwa

dla siebie zrobione, jest po śmierci tegoż do sprzedania. Widzieć ten zegar można w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

(140) (2—3)

W handlu **Karola Schubutha** we Lwowie przy ulicy krakowskiej pod liczbą 50, dostać można:

Genthona **Likier** c. k. uprzywil. **Badeński.**

Ponieważ znakomite przymioty i skutki tego wyrobu ogólnie są znane i tenże przez szanowny fakultet medyczny wiedeński ze względu sanitarnego za **dobry** potwierdzony został, a przez chwalebne poświadczenie szanownej publiczności i c. k. wojskowości, **szczególnie** zaś przez broszurę Dra. Ludwika Dürra o tymże likierze napisaną (a do każdej flaszki bezpłatnie się dodającą) powszechnie oznajomiony jest, przeto niepotrzeba nam wszelkiego samochwalstwa.

Cena: wielka flaszka 2 złr. m. k.
mała „ 1 „ „

Styryjski
SOK z ZIOŁ
dla cierpiących na piersi.

Sok ten potwierdził się dotąd jako skuteczny, *nawet według doświadczeń najsłynniejszych lekarzy w Wiedniu i Gracu*, w sposób nadzwyczajnie pomyślny, mianowicie na *kaszel, influencyę, katar, ból gardła i piersi*. Mnóstwo osób, które go dotąd używały, zapewniają że się im sok ten stał niezbędnym, oraz że wyłącznie środkowi temu zawdzięczają *ulgę i spokojne nocy*.

Mając smak przyjemny, jest nietylko dzieciom miły i pożyteczny, lecz także osobom sędziwym, chorowitym i cierpiącym na płuca potrzebny, mowcom publicznym i śpiewakom wielce pożądanym środkiem na przyćmienie głosu albo też chrypkę.

Dorośli zażywają według potrzeby, czy to we dnie czy w nocy, 4 lub 5 łyżek stołowych, niejaki czas przed lub po użyciu strawy; dzieciom daje się go w stosunku do ich wieku łyżeczkę do herbaty lub kawy.

Sok ten należy zawsze w miejscu chłodnem przechowywać. — Flaszki soku styryjskiego są ze szkła białego, ku wierzchu stożkowo się kończące i cynową kapsułką starannie zatkane, na których, równie jak i na flaszkach samych wyciśnięty napis: „Apotheke zum Hirschen in Gratz" (Apteka pod jeleniem w Gracu) i „J. P. A."; zresztą opatrzone są etykietami, oraz podpisem producenta.

Cena jednej flaszki 1 złr. m. k.; mniej jak dwie flaszki nie przesyła się. Opakowanie dwóch lub czterech flaszek kosztuje 20 kr. m. k.

J. Purgleitner,

aptekarz, producent styryjskiego soku w Gracu.

Wypróbowany
od kaszlu i na płuca skuteczny, pożywny
PROSZEK.

Szczęśliwe kuracje, których przez zapisywanie tego proszku dla jego wybornych i skutecznych własności najsławniejsi weterynarze dokonali, zrobiły go najpierwszym środkiem od wszelakich słabości wszelkiego rodzaju zwierząt, a każdy gospodarz ma je zawsze prawie w zapasie.

Leczy się nim gruntownie wszystkie płucowe słabości bydła rogatego, dychawicę, kaszle i zapalenie płuc. — Przy odęciach, kołkach i zatkaniach, okazuje się bardzo skutecznym, zadawany w wiekszych ilościach. Gdy zaraza wybuchnie, dawany ten proszek bydłu, ochrania go od zarażenia się.

W ogóle skutecznym jest bardzo dla wszystkich zwierząt ssących, poprawiając szybko mleko, tak iż masło w pół godziny zrobić można. Krowy dające złe mleko, już trzeciego dnia dają dobrą śmietanę. Służy do przeczyszczenia bydła przy ocielaniu, gdy na czczo i o godzinie 9. daje się bydłu po jednej lub dwie łyżek. Także dla nierogacizny jest skutecznym, również jak na zołzy u koni. Wypróbowanym jest wreszcie środkiem do czyszczenia krwi i spędzenia wszystkich zarodów chorób z ciała. Daje się jedną lub dwie łyżek z chlebem lub w osypce; cielętom zaś po pół łyżce.

Mała paczka 30 kr. m. k.
(1—3) Duża „ 1 złr. „ „ (137)

Osoba udzielająca nauki języków francuskiego, polskiego i niemieckiego podług najlepszej metody, tudzież historyi, geografii, arytmetyki i religii, trudniąca się przytem od dłuższego czasu wychowaniem i kształceniem panienek, życzy sobie stosownej posady nauczycielskiej w porządnym domu obywatelskim. Dalszą wiadomość udziela z grzeczności księgarnia H. W. Kallenbacha.

(139) (2—3)

W księgarni **H. W. Kallenbacha** we Lwowie dostać można:

Dziejopisowie krajowi.

Tom I—IV. w 8ce dużej, Petersburg 1855. zawierają:

Rudawskiego W. J. Historya polska od śmierci Władysława IV. aż do pokoju Oliwskiego.
Jakóba Sobieskiego pamiętnik wojny Chocimskiej.
Jana Dymitra Solikowskiego pamiętnik rzeczy polskich.
Jędrz. Maks. Fredra, dzieje narodu polskiego.
Leon. Goreckiego opisanie wojny Iwona.
Jana Lasickiego, o wtargnieniu Polaków na Wołoszczyznę.
Przedpłata za 6 tomów . . . . 18 złr.
Całe dzieło składać się będzie ze 12 do 15 tomów.

SKARBCZYK
POEZYI POLSKIEJ.

Tom I—VI w 12ce Petersburg 1855. zawierają:

Poezye Brodzińskiego, Siemińskiego, Magnuszewskiego, Witwickiego, Wasilewskiego i Bielowskiego.

Przedpłata za 12 tomów 12 złr.

(84. 16)

Podpisana

REPREZENTACYA DLA GALICYI

ces. król. uprzywilejowanej Tryestińskiej

AZIENDA ASSICURATRICE

WE LWOWIE

zabezpiecza równie jak w zeszłym roku

SZKODY NA ZIEMIOPŁODACH

PRZEZ

GRADOBICIE

wyrządzone,

bezpośrednio w biórze przy ulicy Pojezuickiej, naprzeciw hotelu angielskiego pod liczbą $175^2/_4$, lub też przez ajentów na prowincyi, na podstawie funduszu towarzystwa t. j.:

Wypłacając zabezpieczonemu całkowitą szkodę zabezpieczoną.

Też sama **Reprezentacya**, jakoteż jej **Ajenci** na prowincyi udzielają **Żądającym zabezpieczenia** potrzebne wyjaśnienia i blankiety do podań bezpłatnie.

Na listowne podania **Szanownych Stron** odpowiada **Reprezentacya** oznajmieniem premii, za której przesłaniem pod jej powyżej wyrażoną adresą udziela się zabezpieczenie od najbliższej 12tej godziny południowej **po odebraniu przesłanej premii.**

Listowne podania zawierać mają najprzód odpowiedź na następujące pytania w ogólności:

1) Nazwę miejsca, t. j. miasteczka lub wsi;
2) jak dawno zabezpieczenie Żądający w miejscu zamieszkały;
3) czyli można z **pewnością podać**, jak często wydarzały się w okręgu tego miejsca gradobicia, a przynajmniej, jak często w upłynionych ostatnich **osmiu latach**;
4) czyli sam poniósł w tymże miejscu szkodę;
5) czyli teraz mające się zabezpieczyć ziemiopłody nie zostały już gradobiciem, mrozami lub inuym sposobem uszkodzone.

Co do kawałków pól w szczególności:

1) Nazwę kawałka pola, na którym zabezpieczyć się mający gatunek ziemiopłodu, o ile ta nazwa znana jest zamieszkałym w miejscu, i opis granic tego poia, tak, ażeby niezachodziła żadna wątpliwość co do innych pól lub kawałków. Mały planik piórem — pojedyńczo zrobiony — może najlepiej zastąpić opis wiele czasu zabierający.
2) Ilość morgów i korcy wysiewu z oznaczeniem gatunku ziemiopłodu.
3) Wartość pieniężną spodziewanego zbioru w monecie konwencyjnej i w liczbach kończących się na nulę.

We Lwowie, w maju 1855.

1szy Sekretarz:	*2gi Sekretarz:*
Leon Ostrowski.	**Konstanty Wodecki.**